

Wychodzą we Lwowie we **Wtorek, Czwartek i Sobotę**. Prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. — Ryciny mód kwartalnie 1 Złr. 20 kr.
Biuro ekspedycji w księgarni **H. W. Kallenbacha**.

Nowiny

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie w głównym dzienniku po 4 kr. z następnymi po 2 kr.; w dodatku po 3 kr. za następ. po 1 1/2 kr. za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie.

20. Marca 1856.

N^o 35.

Rok trzeci.

Sierota wielkiego świata.

V.

Dokończenie.

Nazajutrz wstał Gustaw po nocy bezsennej, i zawałał służącego. Z licznej jego służby pozostał mu tylko jakiś stary inwalid. Reszta obdzieliwszy się czem było można, rozeszła się w świat. Gustaw dowiedział się od służącego, że wierzyciele czekają jego przebudzenia, że konie i ekipaż już w ich rękach. Wieść o zerwaniu małżeństwa rozeszła się lotem błyskawicy po całym mieście, a kto jakie takie miał do Gustawa pretensje, biegł teraz do niego i pomnażał tłum, stojący podedrzwiami.

Gustaw ubrał się czem prędzej. Twarz jego pożółkła, oczy zapadły. Przez jedną noc postarzał się najmniej o dziesięć lat. Wybiegł tylnymi schodami na ulicę.

— Adolfie, ratuj mnie, zawołał wpadając do brata, ratuj mnie bo umrę!

Adolf nic na to nie odpowiedział, tylko westchnął, i począł dalej zbierać akta i papiery i je wiązać. Gustaw rzucił się na sofę jak pijany.

— Cóż to robisz z temi aktami? zapytał po chwili.

— Wyprowadzam się z tego pomieszczenia, odpowiedział Adolf.

— A to na co?

— Jest mi za drogie, trzeba się oszczędzać. Mam długi.

— I ty masz długi?

— Suma ta, którą ci dałem tytułem podniesionych procentów, była pożyczona dla ciebie.

Gustaw zerwał się na nogi. Do jego udręczeń przybyło jeszcze i to, że brata zrujnował, a cała ta budowa, nad którą tak mozolnie pracował, runęła dzisiaj i przywaliła go gruzami. Wybiegł od Adolfa.

Poszedł do jednego, drugiego, trzeciego przyjaciela, ale żaden go nie przyjął. Jednego nie było w domu, drugi spał, trzeci był chory, czwarty zatrudniony. Gustaw ujrzał się sam jeden, wszyscy go opuścili. O malarzu nikt mu nie powiedzieć nie umiał. Znikł gdzieś od nocy.

Wreszcie wpadł do przedpokoju pana Alfreda, ale pan Alfred nie przyjął go. Chciał się widzieć z Jadwigą, powiedziano mu że jest chora.

Tymczasem rozchodziły się po mieście najdziwniejsze plotki. Opowiadano niestworzone rzeczy: że Gustaw fałszował banknoty, że grał fałszywie w karty, że na jego tak okazałe utrzymanie składały się niektóre pa-

nie naszej stolicy, że za pieniądze żenił drugich i za mąż wydawał, słowem co tylko złość ludzka wymyślić lub przekreślić mogła, wszystko to rzucono na nieszczęśliwą ofiarę.

Cały dzień wałęsał się Gustaw po wszystkich ulicach miasta, szukał i odwiedzał znajomych, ale nigdzie ich nie zastał. Wreszcie udało mu się w hotelu spotkać z dawnym towarzyszem broni i temu całe swoje serce otworzył. Jedyna była rada aby się z Trytonem strzelać. Dawny przyjaciel Gustawa wziął na siebie tę missję i udał się do Trytona. Ale Trytona już w stolicy nie było. Zostawił tylko list, że odjeżdża za granicę, a jeśliby Gustaw chciał się z nim rozprawić, to go znajdzie w Dreźnie w pierwszych miesiącach wiosny...

Gustaw nie miał już innego ratunku.

Wieczorem udało mu się wejść do salonu pana Erazma, ale wszyscy oddalili się od niego, a niektórzy nawet salon opuścili.

Gustaw poznał teraz, że wszystkie owe drobnostkowe wyobrażenia o honorze i godności człowieka, których tak gorliwym stał się zwolennikiem i apostołem, obróciły się dzisiaj przeciw niemu, aby go zabić. Żądano od niego krwawego chrztu, a chrzest ten nie mógł się w tej chwili odbyć. Zgodzono się na wyrok, że jeden z nich musi paść. Dotąd zerwano z nim wszelkie stosunki. Gustaw poznał teraz że grunt, na którym dotąd budował, usunął mu się z pod nóg jego, a gdy się obejrzał poza siebie, już nie miał gdzie powrócić.

Jakże okropne było jego położenie. Zadłużony, odepchnięty od wszystkich, bez pomocy, bez współczucia, musiał szukać sposobu ocalenia swego honoru. Ale jakże to trudna była rada! Wierzyciele trzymali go w stolicy i grozili mu aresztem, z mebli jego i całego urzędnika porozbierali, co się wziąć dało, a gdy się Gustaw na ulicę pokazał, zdawało mu się, że się śmieje z niego gawiedź uliczna, że wskazuje za nim palcem, mówiąc: patrzcie o to idzie piechota, co niegdyś jeździł powozem...

Napisał list rozpaczający do pana Alfreda i do Jadwigi; pan Alfred odpowiedział mu, że wszystko uważa za zerwane i że Jadwiga tej samej jest myśli.

Jeszcze wierzył w opór Jadwigi, wierzył że namiętne jej serce odniesie zwycięstwo nad wyobrażeniami wielkiego świata. Uchylając się od widoku ludzi poszedł do dawnego towarzysza broni, i w skromnej jego izdebce kilka dni przesiedział. Jakiż spokój zastał on w tej izdebce! Jakże mu zazdrościł tego spokoju!... Za kilka dni, w dzień świąteczny, wyszedł z koszar, a owinięty płaszczem udał się do katedry.

Nastąpiło kazanie, po kazaniu ogłoszono zapowiedzi, ale jego zapowiedzi już nie było!

W rozpaczy przyszła mu na myśl Aurora. Ona była pierwszym powodem jego nieszczęścia, a dzisiaj miała być ostatnią myślą ratunku. Wbiegł do jej salonu.

Aurora wyglądała blado i sentymentalnie. Przyjęła Gustawa na środku salonu, ale go nie prosiła siedzieć. Powiedziała mu nawet otwarcie, chociaż ze łzami w oczach, że na dalszy, jaki bądź stosunek przyjaźni w stolicy zezwolić nie może, bo toby się sprzeciwiało wyobrażeniom całego jej towarzystwa. Dodała jednak z wielkim afektem, żeby gotową była do pewnych ofiar, gdyby i Gustaw ze swojej strony do tego się przyczynił.

— Więc i ona mnie odpycha, pomyślał sobie i obejrzał się za krzesłem, bo mu przed oczami pociemniało.

Aurora usiadła obok niego i wzięła go za rękę. Z ócz Gustawa puściły się łzy.

— Co za uczucie! pomyślała sobie namiętna kobieta i zamyśliła się na chwilę...

Za kilka dni pakowano u pani Aurory. Wyjechała za granicę.

Od tego dnia i Gustaw zniknął ze stolicy. Niektórzy widzieli go w powozie z Aurorą.

Dwa tygodnie potem zajechała pakowna karetą przed pomieszkaniem pana Alfreda. Do karety wsiadła poważna staruszka w czarnym zakonnym stroju. Za nią siadła Jadwiga. Twarz jej była nadzwyczaj blada, oczy przygasłe. Ładne jej usta popękały z trawiającej gorączki, ale w rysach jej był nadzwyczajny, głęboki spokój, było coś co przypominało spokój grobowy.

Namiętna jej dusza nie umiała się ugiąć pod ciosem tego nieszczęścia, ale złamała się. Jej gorące serce umiało szaleć i namiętnie kochać, ale nie umiało cierpieć i powoli zaumierać; naraz skończyło, pękło.

— Ona przestała cierpieć, rzekła Ofelia patrząc za odjeżdżającym powozem, a sierota i przyjaciółki niema dzisiaj na świecie!

Jadwiga wstąpiła w Paryżu do klasztoru.

E p i l o g.

Mała, lecz szybko bieżąca przeczka przerzynała piękną dolinę. Już po woni powietrza poznać Podgórze karpackie. Na wystającym po nad rzeczkę pagórku bielił się ładny szwajcarski domeczek.

Było to w pierwszych miesiącach wiosny. Pola, łąki i doliny mieniły się w różnorakie odcienia barwy zielonej, jak suknia aksamitna narzucona tu i owdzie żółtymi kwiatami.

Domek szwajcarski nad brzegiem rzeki była to istna świątynia rokoszy. Przepych, wytworność i bogactwo skupiły się w te ciasne ramki miniatury, i upajały zmysły do snów rokosznych.

Na amarantowej, aksamitnej kanapie siedziała piękna kobieta o trzydziestu latach, przy oknie stał młody mężczyzna i zamyślony patrzył w dolinę.

— Gustawie, rzekła kobieta, ty marzysz ciągle i

jesteś zamyślony, jakby to ciebie nie cieszyło, co cię otacza. Każe wyprowadzić Amurata i Lady, może się przejeździemy.

— Nie Auroro, nie mam ochoty do przejazdu.

— Czegoś taki smutny?

— Chciałbym gdzieś jechać, gdzieś uciekać z tej ziemi... Gdzieś do nowej Hollandyi, na jakąś wyspę bezludną lub zamieszkałą przez dzikich. Zwyczaje, tradycje i wyobrażenia nasze ciężą ołowiem na mojej duszy, jabym chciał wejść w świat nowy, gdzie niema dla człowieka ani zwyczaju, ani tradycji, ani wyobrażeń, gdzie sam je sobie dopiero tworzy, według woli swojej i według swego upodobania. Europa nudzi mnie Auroro, ja tutaj żyć nie mogę!

— Cóż za melancholia? Ty się musisz rozerwać, pojedziemy za granicę.

Nazajutrz wypakowano powóz i opuszczono tę czarodziejską świątynię, aby w obczyźnie szukać upragnionego szczęścia i spokoju. Kochankowie nie wiedzieli, że je w sobie szukać potrzeba!...

Droga prowadziła koło Sobkówki. Gustaw zapragnął widzieć się z starym kapitanem. Zajechano do najbliższej karczmy. Gustaw puścił się najbliższą drogą do dobrze znajomego mu dworku.

Wyszedłszy na wzgórze, jakież to widok odsłonił się jego oczom? Komin dworku stał czarny i opalony, a przy nim leżała kupa węgla i gruzów. Na miejscu stajenki czerniało się jak świeża mogiła, nawet owocowe drzewa popaliły się, poschły, sterczały smutno bez liści i bez kwiatu. Połowa bramki została tylko nietknięta i skrzypiała na zardzewiałych wrzeczadkach, gdy nią wiatr kołysał. Koło niej leżał wychudły pies i drzemał, śnać wiedział, że już niema czego pilnować.

Gustaw stanął jak wryty i myślał że zbłądził. Na polu za ogródkiem ujrzał jakiegoś robotnika. Zbliżył się do niego.

Był to stary kapitan.

Miał on na sobie starą wytartą siermięgę i kopał rydłem ziemię.

— Kapitanie, drogi kapitanie! krzyknął Gustaw, rzucając mu się na szyję.

— Powoli Gustawie, odpowiedział kapitan dosyć chłodno, bo się powalasz o mnie, a szkoda by było twego wytwornego ubioru!

— Cóż się to stało?

— Ot jak zazwyczaj w świecie. Gdy ujrzymy nędzę i ubóstwo, to się pytamy dla czego on jest ubogim, a gdy ujrzymy przepych i bogactwo, to się nikt nie pyta, jakim sposobem on się stał bogatym!

— Dla czegoż tak mówisz kapitanie, rzekł Gustaw z boleścią.

— Ot starość nie radość, plecie się co na język przyjdzie. Pytasz się, co tu się stało? *Sors humana*. Guciu, Bóg dał, Bóg wziął, chociaż wiem, że to złość ludzka zrobiła, spalono mnie do szczytu, nic nie uratowałem, prócz życia. Biedny Jakób, chcąc uratować bydelko, spalił się wraz z swoją kaliną na węgiel. Ot tam, zagrzebałem popioły jego, i własną rękę krzyż mu położyłem. Pójdź, mówisz za jego duszę: „Zdrowaś Marja.“

Uszli kilkanaście kroków i stanęli przed grobem. Na krzyżu było napisane: „Wiernemu towarzyszowi.”

Gustaw nie mógł przyjść do zmysłów. Nie świadom sam siebie uklęknął na grobie i odmówił modlitwę, której już dawno na ustach jego nie było.

— A teraz pokażę ci nowe moje pomieszknię, ozwał się po chwili kapitan, a może cię i czem uraczę, jeżeli nie wzgardzisz.

Zbliżyli się do gruzów. Kilka niedopalonych desek i belek przypierało do muru komina. Wniście do wewnątrz zasloniono kocem. Kapitan wszedł pierwszy, za nim Gustaw. Ubóstwo i nędza, które z każdej szpary wyglądały, uczyniły na nim smutne wrażenie. Pod ścianką stało łóżko, koło niego stolik, a na stoliku leżała duża, na pół opalona książka. Był to Tomasz a Kempis.

— Oto wszystko, co wyratowano, rzekł staruszek siadając na łóżku, ale dzięki bogu i za to. Jest chleb i woda i spokojne sumienie. Chcą mi koniecznie wziąć Sobkówkę, i tu karczme wystawić, a nawet może i kiedy wezmą, ale nie wezmą bezemnie... z moim grobem!..

Gustaw wstrząsł się, jakby go zimno wskrós przeszło. Kapitan spojrzał na niego i westchnął:

— Hej mój boże, gdzie się to wszystko podziało! Owe sny, marzenia! Wionęły jak mgła wiosenna, i przyszła zima, a lata nie było!.. O wszystkim pisał mi Adolf. Nieszczęście Guciu, wielkie nieszczęście! Ojciec i matka w grobie mają gdzieś straszne sny!.. I cóż teraz robić zamysłasz?

— Daleko, daleko ztąd pójdę, gdzieś na koniec świata, gdzie się kończy wszystko to, co nazywamy nabytkiem naszej cywilizacji, gdzie się poczyną świat nowy, gdzie nie ma przesądów ani ustaw ludzkich..

— Cóż ci tak cięży na sercu?

— Wszystko, wszystko, ta atmosfera, te wspomnienia, pamiątki, cnoty i błędy nasze, wszystko to cięży na mnie i pali mnie, jak dach ołowiany nad więźniem!

— Rozumiem cię. Świat cię potępił i rzucił na ciebie kłatwę. Uciekasz przed tą kłatwą i szukasz schronienia. Ale tam go nie znajdziesz. Choroba jest w tobie, a jej się nie pozbędziesz, chociażbyś na koniec świata poszedł. Nie będę ci czynił wyrzutów, bo już stało się. Złą drogą poszedłeś, chciałeś bez pracy i bez trudu zająć tam, gdzie tylko zasługa prowadzić powinna. Jakież jest dzisiaj dla ciebie ratunek?.. Oto praca, praca. Człowiek dohry powinien być, jak grudka złota, ważny i nie wiele miejsca zajmować. Ludzie lekkiego umysłu, co się chcą nadać i rozprzestrzenić, są podobni do owej poślótki w listkach, co ją lada wiatr na wszystkie strony poroznosi!.. Zaczynj pracować, zaczynj od czegoś małego i postępuj coraz więcej. Nie chciej być od razu Napoleonem. Ot widzisz, i ja miałem konie i woły, orałem pola, siałem i zbierałem. Dzisiaj pozostał mi tylko rydel i moka, nie mając czem orać zagonów, kopie grządkę!..

— Nie mój drogi opiekunie, ja widoku twego ubóstwa nie zniosę. Straciłem twój grosz oszczędzony, moim obowiązkiem jest dzisiaj wywiązać się z mego długu.

Gustaw wydobył pugilares.

— Uchowaj boże! zawołał staruszek, ja tego nie chcę. Wiem, żeś nie nie pracował, i nie sobie zarobić nie mogłeś. Zkąd pochodzą dzisiaj twoje dostatki... co mi do tego? Ale zdaje mi się Gustawie, żeś jeszcze na gorszej drodze. Przed chwilą witając się ze mną, powalałeś się o moją siermięgę, może ja bym więcej ręce moje pokalał, gdybym te pieniądze wziął od ciebie!..

— Więc i to ma mnie dręczyć, pomyślał sobie Gustaw, że temu pocziwemu staruszkowi wydarłem grosz ostatni!..

Była to pora kąpielowa. Karlsbad nie mógł pomieścić gości ze wszech stron napływających. Wesolo i gwaro było w mieście i w zakładach kąpielowych.

Samotną ścieżką popod lasek przechadzał się bladej mężczyzna. Na kamiennej ławeczce przy drodze siedziała młoda kobieta i wila bukiet.

— Jakie kwiatki lubisz Gustawie, zapytała tklwie, różowe czy żółte?

— Czerwone i czarne, odpowiedział Gustaw z ironicznym uśmiechem, takie barwy widziałem na kirach śmiertelnych.

— Czemuż tak mówisz Gustawie? Ja cię tak kocham!

— Ty mnie kochasz Auroro?.. Nie, nie musisz mnie kochać, bo twoja miłość nie uszczęśliwia mnie. Cześć, ogromną cześć czuję w sercu, jestem głodny i pragnący, i wdycham wiecznie jak Tantal... a nie mnie ukoić nie może!.. Auroro, mnie brak życia, mnie jakoś duszno na świecie, zdaje mnie się, że nie żyję tem czem ludzie żyją, ale jakimś surogatem co mnie zabija!.. Zdaje mnie się, jak we śnie, że lecę w jakąś przepaść, że tonę, a nie mam siły, aby się ratować, lub się przebudzić!.. Jakżebych chętnie dzisiaj umierał!..

Tu zbliżył się jakiś mężczyzna czarno ubrany. Włosy jego były siwe. Gustaw spojrzał na niego i wzdrygnął się. Był to malarz.

— Auguście, tyś złym demonem mego życia, zawołał; i tu mnie prześladujesz?

— Tylko złi ludzie mają złych demonów, a dobrzy mają aniołów-stróżów, odpowiedział malarz i wręczył Gustawowi list zapieczętowany.

Gustaw przebiegł szybko list oczyma a twarz jego rozjaśniała.

— Nie, nie, aniołem-stróżem jesteś, rzekł z radością daruj żem cię tak nazwał.

Gustaw zaprosił malarza na herbatę. Był nadzwyczaj wesoly i rozmowny. Twarz jego okrasili chorowity rumieniec, w oczach był jakiś wyraz gorączkowy. Aurora cieszyła się dobrym humorem Gustawa i rada była malarzowi, że tak korzystnie uczynił na nim wrażenie. Bawiono się do późnej nocy.

Przed wschodem słońca wstał Gustaw i zdjął ze ściany pistolety. Na stole położył dwa listy, jeden do kapitana, drugi do Adolfa.

Czy nie miał się więcej z kim żegnać? A Aurora?

On czuł w tej chwili, że jego serce odżyło, a to serce było szlachetne. Z obrzydzeniem i wzgardą spojrzał na błądzącą kobietę.

Pod laskiem stało kilku mężczyzn, między nimi malarz i Tryton.

Odmierzono kroki i strzelono na komendę.

Gustaw padł.

Lekarz i malarz przyklękli na ziemi, aby mu dać pomoc, ale Gustaw już nie żył.

— Szlachetna i wielka była to dusza, rzekł malarz, gdyby tylko miała mniej błędów ludzkich...

Kilka tygodni potem szły dwie damy w ciemnych sukniach tą samą ścieżką. Obok nich szedł nasz malarz.

— Tu odbył się pojedynek, rzekł wskazując na miejsce pod laskiem.

— Boże, przebacź grzesznej duszy jego, odpowiedziała starsza dama a wyjąwszy różaniec, poczęła odmawiać pacierze.

Młodsza miała twarz nadzwyczaj bladą, oczy ciemnobłękitne. Dwie łzy stoczyły się po jej licach.

Była to Ofelia i hrabina. Przyjechały do kąpiel.

W tej chwili zbliżył się do nich jakiś drugi czarno ubrany mężczyzna. Ofelia zbladła i oparła się o ramię hrabiny. Zdawało się, że widzi ducha Gustawa. I w samej rzeczy czarno ubrany mężczyzna był zupełnie do niego podobnym. Tylko twarz miał więcej bledszą i rysy miększe.

Był to Adolf.

— I pan do kąpiel przyjechałeś? zapytała hrabina.

— Jestem wprawdzie cierpiący, odpowiedział Adolf, ale więcej przyjechałem dla tego, aby grób mego brata obaczyć.

Nastąpiło milczenie. Po chwili ozwał się malarz:

— Moja godzina wybiła, muszę panią żegnać. Cieszy mnie, że zostawiam panią w tak dobrej opiece.

— Już pan od nas odchodzisz? zapytała hrabina.

— Odchodzę daleko za Ren, w kraj Alpów, piramidów...

Rzekłszy to spojrzał w oczy Ofelii, które się łzami zaćmiły, a skłoniwszy się damom, znikł na zakręcie ścieżki.

Ofelia spojrzała na nowego swego opiekuna i zdążyła się z jego melancholijnym wejrzeniem. Twarz jej zarumieniała się lekko, ale łza nieprzestała błyszczeć w jej oku.

I na tem kończy się nasza powieść.

....A Edmund i Leoncia?

— Nie wiem, co się jeszcze z nimi stanie. Wprawdzie powinnyby Leoncia być szczęśliwą, bo niewinne jej serce na to zasłużyło. Może nawet i będzie. Bo dla czegoż ma pokutować za grzechy rodziców? Może czas i stosunki ludzkie powoli zetrą pamięć tej sceny skandalicznej, może i pan Alfred będzie musiał w końcu szczęśliwшему dorobkiewiczowi ustąpić, i na pojednanie rękę mu podać.

Wiele rzeczy się dzieje, które za niepodobne uważaliśmy.

....A Ofelia?

— Ofelią zostawiam ze łzami boleści w oku a z rumieńcem uczucia na twarzy. Sierocie łza przystoi, a rumieniec szczęścia jest dla niej rzadkim i nadzwyczajnym

darem nieba. Czy iżę tę uniesie aniół do nieba, a jej rumieniec szczęścia zostawi, czy z bladą twarzą musi ją sama nieść przed tron Boga, tego dzisiaj powiedzieć nie umiem. Może kiedyś jeszcze o niej napiszę, może i stary kapitan przy kominku Adolfa opowie nam, jak to na świecie za jego czasów bywało!....

Jan Zachariasiewicz.

Zgon ksieni

(dla tych którzy czytali: *Zgodę senatorską*).

Do J... K.....go.

Pytałeś mi się nieraz: czy poważna ksieni

W naszej wiejskiej ustroni dotąd się zieleni?

Czy się Bieszczadu powiew w jej gałęzie wkrada,

Czy się w niej gnieźdzą jeszcze wiewiureczek stada,

A bujnym rojom pszczoły stojąca otworem,

Czyli się modli ksienia rankiem i wieczorem?

Czy podworzec swym liściem zaściela w jesieni??

— Nie, odpowiem ze smutkiem, nie, już niema ksieni!..

Straciliśmy dawnego, tego przyjaciela...

Już zabawom dziecięcym chłodu nie udziela,

Swą wonią dawniej obszar pojąca daleki,

Poważnym mowom ojców już nie da opieki...

Jej pień olbrzymi niegdyś runął wielkoludem,

A zgon jej dworscy ludzie dotąd mieniają cudem!..

Z synów twego pradziada, wyrosłszy na męża,

Jeden rwał się do nauk, inni do oreża!..

Ów wracał z pod *Dubienki* okryty wawrzyny *)

Temu grzmiały zwyciężkim bojem *Szczekociny*; **)

Pochwałą naczelnika zaszczycon młodzieniec

Poił się bohaterskim wspomnieniem *Zieleniec*; ***)

A w *Dubiecku* jak dawniej ksienia brzmiała rojem,

I wszystko tam się śmiało szczęściem i pokojem...

A znasz ty chwilę trwałą spokojnej uciechy?

Czy ci sprzyjały ciągle nadziei uśmiechy?..

Wiesz ty, czy po zachodzie jasnym i przejrzystym

Nazajutrz ujrzysz słońce pogodnym i czystym?..

Czy marzącego błogo pod nocy całunem

Nie zbudzi cię poranek wichrem i piorunem?..

W pogodny dzień jesieni, modląc się do *Pana*,

Jejmość pod cieniem ksieni padła na kolana,

W około młodsza dziatwa i grono czeladki

Odmawiali koronkę do najświętszej matki,

Każde serce pociechą i nadzieją biło;

A nad niemi słońeczko tak jasno świeciło,

Ksienia sędziwe wiekiem podnosiła czoło,

Przyswojone wiewiórki płały wesoło...

Ledwie odeszło grono, do zamku z powrotem,

Ksienia o ziem runęła z trzaskiem i łomotem...

W tydzień potem, bolesne nadciągnęły wieści:

Nadzieja, którą naród nadewszystko pieści,

Tak jak ksienia runęła w jednym oka mgnieniu;

*) Pan Jan K....

) (*) Pan Ksawery K....

W ten sam dzień i godzinę, gdy jejmość w jej cieniu
Modlitwy zanosila o skutek tej sprawy,
Wtedy w *Maciejowicach* bój się toczył krwawy,
Tak jak ksienia, i naród zły nie uszedł doli;
Padł naród, a *Kościuszko* ranny i w niewoli.

A.....z S.....K.....i.

Henryk Heine.

Ciąg dalszy.

To połączenie przeciwieństw, ta szczególna technika w tej jego grze po klawiszach uczuć ludzkich, jest tedy główną zaletą niemieckiego poety, ale zarazem można by ją nazwać główną wadą jego. Ta bowiem ciągła ironia obok czułości, dowcip obok uczucia, śmiech szatana obok łzy anioła, karykaturuje pocie mimowolnie najpiękniejszy obrazek. Przyzwyczajony do tej mieszaniny, narzuca on nieraz obrazy swoje nadto grubymi i jaskrawymi barwami, co nie zawsze przyjemne robi wrażenie. Nieraz wkrada się przez to konieczna niedbałość wyrażen, rażących swą prozaicznością aż nadto poziomą. Nieraz zda się, jakby niepojętym jakim wiedziony kaprysem, twarz anioła cudowną, z nieba wprost wykradzioną, własną ręką błotem ziemi obryzgał.

Jakoż zarzuty talentowi jego, jako poety czynione, wszystkie prawie kręcą się w koło tego, używając po temu, czyli raczej nadużywając tej jego właściwości, na korzyść swej krytyki jednostronnej, nie pomni na to, że najwięksi pisarze mają i mieć muszą swoje właściwości, które dla jeniusza, co z nieba pochodzi, są niejako poświadczeniem metrykalnem jego wstępu na ziemię.

Mniej jeszcze sprawiedliwy jest zarzut, jaki mu nieraz czyniono, zaniedbania w formie, jaką nadaje poezjom swoim. Jest to jeden z tych zarzutów, którym lubią wojować krytycy nieuzdatnieni, ale skorzy do podjazdowej wojny. Zarzut ten na ich nieszczęście wygląda najczęściej jakby za ciężka maczuga, którą słaba dłoń wywija po powietrzu; nieprzyjaciela nie trafi, ale sam siebie skaleczy, z niemałą pociechą patrzących na te gimnastyczne donkiszoterje.

Kto miał w rękę *Romanzero* Hejnego, *Księgę pieśni*, *Zimową bajeczkę*, *Pieśni nad morzem północnem* i tyle innych cudnych piosenek płodnego piewcy niemieckiego, przyzna, że do rodzaju pieśni, do rodzaju poezji, niktby stosowniejszej nie wymyślił formy nad tę, którą ubiera Hejne swoje lekkie utwory. Najlepiej to się czuć daje przy czytaniu, i prawdziwie wydaje się nieraz, że pocie natchnienia płynęły już gotowe, płomieniem piersi ulane w pewną właściwą sobie i stosowną formę.

A jeżeli się ozwa kiedy jakie zaniedbania, są one naumyślne, jak się sam nieraz przyznawał poeta w swej ostatniej słabości. I że prawdę mówił, to najlepiej dowodzi, iż sam nadzwyczajnie dbał o formę swych poezji. Ci co go otaczali z bliska i częste z nim mieli stosunki, wiedzą o tem dobrze, że jakkolwiek lekko wydmuchnięte wydają się nieraz zwrotki jego, są one dobrze wypracowane.

Hejne był w tej mierze dbały aż do kokieterii prawie; to też obciesywał, piłował i przerabiał jakby złotnik nad brylantem, póki mu myśl natchniona nie zaiskrzyła się tysiącem wymarzonych promieni, w swoim przyzmatycznym obrobieniu.

Był on bardzo próżny co do tego, i nieraz powtarzał z właściwą sobie żartobliwą ironją:

— Ja w formie wierszów moich nie mogę znieść błędu żadnego, również jak żadnej plamy na koszuli. Lekkie zwrotki swoje porównywał do tych koronek brabanczich, tak wiotkich, tak delikatnych, po których lotnej powierzchni ledwie poznać można, ile kosztowały pracy.

Pieśni jego i inne utwory bądź wierszem, bądź prozą pisane, są tak rozrzucone, iż je ledwie spamiętać wszystkie można, ale jeżeli jak słyhać zbierze je wszystkie *Campe*, mający upoważnienie po śmierci poety zrobić popularne wydanie wszystkich pism jego, najwyżej uprzedzony zmarłego nieprzyjaciela, zadziwi się nad rozlanym po nich skarbem żywej i prawdziwej poezji, i nad szczególną w tej mierze pracowitością jego, która nieustawała w czasie najokropniejszych cierpień, jakie bezustannie prawie przebywał na lat kilka przed śmiercią.

Hejne za młoda bardzo uczuł w sobie żytkę poetyczną, i chociaż miał sposobność zostania przy banku stryja, bogatego człowieka, wolał puścić się w świat, z żądzą do wolnej pieśni.

O roku urodzenia poety sprzeczą się dotąd podobno. Urodził się w Düsseldorf, wedle jednych w 1799, wedle drugich w nocy z ostatniego grudnia 1799 na 1go stycznia 1800 roku, a zatem wraz z rodzącym się wiekiem naszym, o co mniejsza. Ojciec jego był starozakonnym, równie jak i matka; sam zaś przeszedł w r. 1825 na religię protestancką. Jako synowiec bogatego hamburgskiego bankiera, Salomona Hejnego, przeznaczony był także do handlu; jakoż wychowanie jego początkowe zakierowane było ku temu, a nawet czas jakiś oddawał się handlowi. Lecz wnet porzucił go by oddać się naukom prawniczym, które także porzucił. Mieszkał on w ówczas w Bonn, i zdaje się że to życie nad Renem, pełne ruchu, gwaru i rozmaitości, rozbudziło najpierw młodzieńcze marzenia, które poruszony drzemiący w nim duch poetyczny, pierwszemi ozwał się pieśniami. Przyłożyły się także niemało odczyty A. W. Szlegla, których młody Hejne słuchał z wielką pilnością i zapalem.

Po raz pierwszy wystąpił r. 1822 z tomikiem lirycznych poezji, a w roku 1823 z tragedjami *Radclyffe* i *Almanzor*. W lirycznych poezjach dobywa się tu i owdzie ton żywszy, dający dobrą o przyszłości wróżbę. Tragedje za to były liche, znać było w nich wczytanie się w Byrona i ówczesną żądzę do walk ze wszystkimi i ze wszystkim, mianowicie z filisterją całą, która jak wiadomo jest u Niemców generyczną nazwą wszystkiego tego, co tylko się nie podoba młodzieńczej excentryczności. W r. 1826 wyszły obrazy z podróży, które zwróciły powszechną uwagę na młodego autora. Rozmarzeni Niemcy zbudzeni nagle, patrzyli na się z zadziwieniem. Po raz pierwszy w środku mar trupich i cieniów nieboszczykowskich, jakimi Niemców obdarzyła ponapoleonowa restauracja,

usłyszano głośny, zuchwały, zarozumiały, ale z dumy pochodzący śmiech. Panującej wówczas przesadnie romantycznej donkiszoterji zimną krytyką byłby nie zabił. Aż się pojawił Hejne z sarkazmem i drewnianą pajaca szablą, i jak zaczął walić na prawo i na lewo, porozpędzał i marzących wędrowników i mgłę, po której bez nadziei wyjścia błądzili nieszczęśliwi.

C. d. n.

Korespondencja z Poznańskiego.

(Marzec 1856).

Od dawna wybierałem się z listem do pisma waszego, lecz choroba, a po części zatrudnienia, stały chęci mojej na przeszkodzie. Wyznaję zaś szczerze, że z przyjemnością nawet czynny brać chciałbym udział w każdym tego rodzaju literackim przedsięwzięciu, o ile zdolności i siły pozwalają, bo pojmuję ważność każdego pisma periodycznego, mającego oświecać i uczniać społeczeństwo. Każdy literacki dziennik, tygodnik, miesięcznik i t. p., to nauczyciel narodu, to apostoł światła i moralności. Biada narodowi, który ma fałszywych kapłanów i nauczycieli. Szczególnie ważne i wielkie zadanie mają pisma nasze: one to głównie utrzymywać powinny jedność narodową w literaturze w różnych częściach kraju, a zapobiegać najszkodliwшему zubożeniu i zasklepieniu się prowincyalnemu; powinny budzić i rozwijać wspólną miłość, wspólne zamiłowanie celów wyższych, wspólną dążność do dźwignienia i krzewienia narodowej oświaty i zacności. Możecie więc sobie wystawić, jak nam tu w Poznańskim ubolewać przychodzi nad tem, że jesteśmy obecnie zupełnie miejscowych pism polskich pozbawieni; a przecież dwa miliony ludności polskiej w Księstwie, Prusach i Śląsku zostaje pod berłem pruskim, a przecież niedawne temu czasy, kiedy u nas kwitło piśmiennictwo, kiedyśmy za wzór służyć mogli innym częściom kraju, kiedy wychodziły *Przyjaciel ludu*, *Tygodnik literacki*, *Ośrodek*, *Dziennik domowy*, *Pismo dla nauczycieli i ludu*, *Gazeta kościelna*, *Szkółka niedzielna dla ludu*, *Rok*, *Szkółka polska*, (pismo pedagogiczne) i *Szkółka dla dzieci*. Dziś żadne z pism tych nie wychodzi, żadne na ich miejscu nie powstało, a literaci poznańscy tak poziechli i publiczność tak jest obojętna, że zwiedziwszy nasze miasta, wioski i dwory, powiedzielibyś sam do siebie był zmuszony: zaiste! w tej ziemi tak głucho, że tu pewno wszyscy piszący wymarli a publiczność „oświecona” nigdy jeszcze nie czytała. Że to nie jest li osobiste moje przekonanie, że wreszcie głuche to milczenie i zastraszająca obojętność publiczna trwoga napelnia tych, którzy nad stanem tym pomyśleli, okazać to mogą odzywające się głosy już nie tylko w kółkach prywatnych ale nawet publiczne do publiczności. Ktoś z nad Orli woła w gazecie poznańskiej! „Kto u nas kupuje, kto czyta książki w Poznaniu wychodzące? chyba kilku lub kilkunastu literatów z profesji, inni nawet o tytułach nie wiedzą. Ja mam trzech sąsiadów. Jeden ani daje sobie wspomnieć o literaturze, mówi że to głupstwo, tylko dla próżniaków wymyślone. Drugi znowu wiele o niej rozprawia, ale nig-

dy żadnej książki nie kupi. Trzeci czyta lecz same tylko romanse francuskie... Cóż się stało z naszymi domowymi pisarzami? Wszyscy milczą... Co smutniejsza nasi uzdolenieni kapłani, na których przed kilkoma laty wszyscy mieli zwrócone oko, po których się tyle spodziewano, dziś zupełnie umilkli... A któż będzie pisał moralne i religijne książeczki dla ludu, kto utrzymywał w wyższych stanach oświatę religijną na wysokości krajów obcych, jeżeli nie duchowni, którym dana została potęga słowa i pióra? Z poetów, co się stało z J. N. Jaskowskim, który tak piękne wiersze umieszczał w *Przyjacielu ludu*? Czemu K. Zakrzewski nie zbierze swych rozrzuconych poezji i nie wyda? Co porabia Berwiński? Czemu generał Morawski nie drukuje swych utworów, osobliwie bajek, o co go wszystkie polskie dzieci od tak dawna proszą? Nie skończyłbym, gdybym dalej ciągnąć miał me pytania. Lecz i tak dość nazwisk wyliczyłem *), by okazać, po ilu to pisarzach mielibyśmy prawo się spodziewać, iż nie dozwolą naszej prowincji długo spoczywać pod zarzutem, iż ze wszystkich dzielnic polskich najniżej stoi pod względem literatury i ruchu umysłowego. Niechaj pomną, że chociażby obojętność publiczności była jeszcze naganniejszą jak ich milczenie, to potomność główną winą naszej niższości przypisze tym, którzy mogli nas budzić z otępienia a nie budzili.“ Daleko jeszcze dokładniej maluje zastraszający stan naszego księstwa ktoś w wybornej bajce, zamieszczonej niedawno w gazecie poznańskiej. W przekonaniu, że i was bajka ta zająć może, przytaczam ją tu w całości. Zaiste! zasługuje na to, aby ją wszyscy czytali i aby odgłos jej nawet z daleka znów na nas oddziaływał.

Noeni stróże.

W pewnym starożytnym grodzie,
Czuwając bez odpoczynku,
Chodzili stróże po rynku
Gwoli publicznej wygodzie.
Ale nie nucili pieśni,
Bo byli smutni, że mury
Coraz grubsze kryły pleśni,
Że baszty toczyły szczury,
Że wał rozkopuje trzoda,
Że w studniach wysycha woda;
Jednak wiedząc co się święci,
Mieszkańcy spią jak zarznięci.
Tak dumali owi stróże,
Każdy wsparty na kosturze,
I czekali słońca wschodu,
Bo już skośnieli od chłodu.

W tem trzask, okno się otwarło,
Ktoś woła na całe garło:

*) Libelt, Łukasiewicz, Gieszkowski, Działyński, Rogier Raczyński, Cybulski, Estkowski, E. Bojanowski, Rymarkiewicz, Małeckci, Bratkowski, Motty, Cegielski, X. Janiszewski, X. Respałek, X. Borowicz, X. Prusinowski.

«Cóż się to dzieje do czarta!

A to wstyd panowie warta!

Dawniej, przypominam sobie,

Co za pobudki! hejnały!

Dziś cicho, głucho, jak w grobie.

Hej, dalejże! z piersi całej

Tak zahukniście pieśń waszą,

Aż się te spiochy przestrasza,

I *nolens volens*, na nogi

Zerwa się, chociażby z trwogi!

A na to stróż jeden z cicha:

„I waść lepiej nie budź licha,

Zamknij okno, wróć na łóżę,

Bo to wszystko żal się Boże!

Dla psa mucha to mospanie,

Na sen taki pogłasanie.

Tu wał na gwałt choć z móżdżerzy,

Wołaj: Gore! koniec świata!

Nikt na głos twój nie wybieży

Z pod puchowego piernata.

Owszem, gdy go krzyk twój głuszy,

Szłafmycę wciąga na uszy.

A więc mimo dobrej rady,

Wśród na śmierć spiącego miasta

Na co spiewać serenady?

Nie kuś, dobranoc, i basta.“

Poszli, i zasnęli sami,

Pokładłszy się przed bramami:

Aż ich na raz budzą krzyki,

W mieście lament, bo łotrzyki

Kiedy wszyscy smacznie spali,

Z kretesem gród zrabowali:

Dopiero chórem z ratusza

Jęto śpiewać Tadeusza,

Ale nie było słuchaczy,

Bo lud skamieniał z rozpaczy.

C. d. n.

Rozmaitość.

* **Chińskie ustawy.** W chińskich ustawach wyrzeczono zasadę, że każdy chory i kaleka ma prawo pomocy ogółu. Aby zasadę tę w życie wprowadzić, urządzono szpitale i domy, w których żywią się chorzy i kaleki. Ustawa ta brzmi: Starcy i kobiety podeszłego wieku, które owdowiały, sieroty i w ogólności wszyscy ci, którzy cierpią na słabość wielką lub nie uleczoną, a którym na koniecznych potrzebach zbywa; którzy nie mają ani rodziców ani krewnych, aby im dopomódz byli w stanie, będą pobierać od Mandarynów z miejsc ich pobytu pożywienie i utrzymanie w urzędzonych na ten cel domach. Każdy Mandaryn, wykraczający przeciw tej ustawie, będzie surowo karany.

* **Honorarium Milтона.** Milton sprzedał swój manuskrypt „Raj stracony” księgarzowi Samuelowi Simonsowi za 5 luidorów, z tym warunkiem, że księgarz dołoży mu jeszcze 5 luidorów, jeśli 13 egzemplarzy sprzedane będą. Pod temi samymi warunkami nastąpiło drugie i trzecie wydanie tego mistrzowskiego utworu.

* **Pokorna audyencja.** — Czy dawno pan tu bawisz?

— Tak jest najjaśniejszy panie!

— Jak się panu miasto nasze podoba?

— Tak jest najjaśniejszy panie!

— Może pan nie rozumiesz należycie naszego języka?

— Tak jest najjaśniejszy panie!

Ta rozmowa przypomina audyencją jednego chorążego u króla Frydryka drugiego.

— Jak długo służysz pan?

— 27 lat.

— Ileż pan sam masz lat?

— 18 lat!

— To chyba jeden z nas dwóch dostał pomieszania zmysłów.

— Tak jest najjaśniejszy panie!

* **Xiaże Luxemburski**, sławny generał francuski, był bardzo brzydki. Na nim, mówiono, skończyły się zwycięstwa i szczęście Ludwika XIV. Dzielnym wojownikiem w wysokim stopniu posiadał przywiązanie i zaufanie żołnierzy. Ciągłe to jego szczęście wojenne, zrobiło go nieznośnym królowi Wilhelmowi angielskiemu, to też wymyślał zawsze na niego, i między innymi nazywał go zawsze garbusem.

— Co on może o tem wiedzieć? rzekł na to Xiaże. On mnie nigdy z tyłu nie widział.

* **Przestraszony poeta.** Oehlenschläger, znany piewca tyłu bohaterów, nie posiadał sam zbyt wiele odwagi. Jednego razu podróżując w towarzystwie kilku przyjaciół z Rzymu do Tyrolu, zatrzymał się był w jakiejś karczmie, czekając na pogodę. Nudno jakos było wesołym towarzyszom, i poczęli o jakiejś rozrywce przemysliwać. Znając bojaźliwość poety, ułożyło sobie towarzystwo, zabawić się jego kosztem. Umówiono się więc z gospodynią, która zaraz poczęła w domu wielki hałas robić. Co się to stało gospodyni? zapytał ciekawie poeta. Po niejakiem czasie nastąpiła odpowiedź, że się mieszkanka trzęsienia ziemi spodziewają. Żółtawy, siarczany kolor powietrza jest niezawodną oznaką tego nieszczęścia. Poeta zbladł i zapytał swoich przejaciele: Cóż w takim razie robić? Bogu duszę polecić, odpowiedzieli smutno wszyscy. Na miłość Boga, trzeba coś radzić, zawołał znowu drzącym głosem. Już to najlepiej w takim razie wyleźć na wysokie drzewo odrzekł jeden. Oehlenschläger nie na to nie odpowiedział, tylko się zadumał. Wtem pódniósł jeden z grona nieznacznie stół kolaniem do góry, aż szklanki zabrzęczały. Zerwał się Oehlenschläger i wybiegł na dwór. Całe towarzystwo widziało przez okno, jak dosyć dobrej tuszy poeta przyskoczył do wysokiej sosny i począł się na nią drapać. Pocięśny był to widok; pot lał się z czoła przestraszonego. Wreszcie po niesłychanych wyczynach udało mu się wyleźć na wierzchołek. Tam dopiero przypchnął, trzymając się gałęzi i czekając ze strachem owego zjawiska. Wiele potrzeba było czasu i namowy, aby biednego poetę na dół sprowadzić.

Nowiny lwowskie.

* Od dnia 19go b. m. pokazywane będą w małej sali ratuszowej trzy piękne kobiece wyroby z włosów, krepy i złotych nici. Jeden z nich przedstawia: *Popiersie Jego cesarskiej mości naszego najmiłościwszego pana*; drugi, *obraz Madonny*; trzeci, *obrazek Esmeraldy z kozą*. Trzy te ładne wyroby pokazywane będą za pieniądze, po miernej cenie 10 kr. w m. k. i to w dniu powszednie, od 10tej z rana do 2giej po południu, a w niedziele i święta od 12tej do 5tej z południa. Połowę dochodu pobieranego przez dni 14, właścicielka przeznaczyła na rzecz *funduszu pożyczki* nazwiskiem *Cesarza Franciszka Józefa* uświęconego. Jest to najmocniejszy dowód, jak ogólne jest współczucie u nas i dla tego tak pożytecznego funduszu, i dla tak naszej powszechności drogiego nazwiska, którym się fundusz ten szaszczyca.

* W wielką sobotę odegrają amatorowie i artyści muzyczni lwowscy o w pół do trzeciej po południu, Oratorium: *Siedm słów Zbawiciela*, utwór Hajdena, w kościele Ś. Marii Magdaleny.

* Do dzisiejszego numeru przyłączone: jedna ryćcina miod i arkusz wzorów do haftów i krojów. Opis nastąpi w następnym Numerze.

Przyjechali od dnia 17. do 19. Marca do Lwowa.

PP. Wrześniowski Mich. z Magierowa. Czerkawski Jul. z Meryszczowa. Wybranowski Alex. z Szołomyi. Strzelecki Eug. z Wyrowa. Zagórscy Wład. i Win. z Podbuża. Dobrzański Mich. z Rohatyna. Ks. Sapieha Leon z Krakowa. Borowski Izyd. z Turki. Skrzyszewski Mich. z Bełzca. Komarnicki Bol. z Pohorec. Augustynowicz Bol. z Kniaża. Listowski Jak. z Krościenka. Lityński Fel. z Borowa. Leszczyński Jan z Luczan. Bykowski Stan. z Boratyna. Swierżawski Wład. z Boratyna. Skrzyszewski Józ. z Sewczynki. Niewiadowski Tadeusz z Żółkwi.

PP. Łęczyński Hip. z Liska. Witosławski Wład. z Tuligłówn. Madeyski Mar. z Przemyśla. Jabłonowski Jan z Sambora. Augustynowicz Zyg. z Przemyśla. Trzeciński Tyt. z Polanki. Torosiewicz Mor. z Ostrowa. Grabczewski Józ. z Obelnicy. Hr. Badeni Wład. z Surochowa. Reyner Fel. z Laszek. Bobrowski Klem. z Podkamienia. Tatarowski Al. z Drochomyśla. Zaremba Bol. z Wodnik. Gostyński Stan. z Hnizdowca. Łodyński Hier. z Milatyna. Bartmański Fel. z Tadanina. Rudkiewicz Sew. z Łukawicy.

Wyjechali od dnia 17. do 19. Marca ze Lwowa.

PP. Gagarinks. do Dembicy. Bobowski Konst. do Humnisk. Łopuszański Wład. do Cyszek. Krukowiecki Fel. do Mieczkowic. Krzczunowicz Teod. do Kopeczyniec. Wybranowski Alex. do Kulikowa. Polanowski Alex. do Moszkowa. Torosiewicz Fran. do Czeremchowa. Bogdanowicz Miecz. do Kremidowa. Torosiewicz Emil do Szwejkowa. Abancourt Xaw. do Łowczy. Padlewski Apol. do Czabarówki. Hr. Drohojewski Sew. do Bartatowa. Hr. Baworowski Władysław do Wiednia.

PP. Turkuł Onuf. do Gajów. Ochocki Cyp. do Zarwanicy. Gumowski Wik. do Berezowic. Struciński Andr. do Ottynowic. Lityński Fel. do Borowa. Biliński Fel. do Olszanki. Biliński Jan do Huty. Skrzyszewski Ant. do Oleszyc. Żurkowski Aug. do Lubienia.

Lwów, 19. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 29 złr. 26 kr. do 30 złr. 14 kr. — Żyta po 22 złr. 30 kr. do 22 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr. do — złr. — kr. Owsa po 10 złr. — kr. do 12 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do 18 złr. 25 kr. — Ziemiaków po — złr. — kr. do — złr. — kr. Sąg drzewa bukowego 35 złr. 30 kr. — do 37 złr. 30 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 26 złr. 30 kr. Cetnar siana 1 złr. 45 kr. do 2 złr. 10 kr. — Centnar słomy 1 złr. 40 kr. do 2 złr. — kr. w. w. — Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty — Złr. — kr. do — złr. — kr. w. w.

Kurs telegrafowany z Wiednia 19. b. m. o g. 2. popołud.

Augsburg za 100 złr.	101 $\frac{1}{2}$	Pożyczka 5%	86
Hamburg za 100 tal. banco	74 $\frac{1}{2}$	Akcyje banku	1082
Londyn za 1 funt szterl.	10,5	Kolej północna	2885
Medyolan za 300 lirów	102 $\frac{1}{2}$	Obl. ind.	77 $\frac{1}{2}$
Paryż za 300 franków	120 $\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loteryą	110 $\frac{1}{2}$
Agio duk. ces.	6	Pożyczka narodowa	86 $\frac{1}{10}$

Dzisiejszy	Kurs Lwowski	Gotówką	towarem
Dukat holenderski	złr. 4	kr. 45	złr. 4 kr. 50
Dukat cesarski	" 4	" 46	" 4 " 51
Półimperyal zł. rosyjski	" 8	" 13	" 8 " 20
Rubel papierowy	" —	" —	" — " —
Rubel srebrny rosyjski	" 1	" 35	" 1 " 37
Talar pruski	" 1	" 30	" 1 " 32
Polaki kurant i pięciolotówka	" 1	" 9	" 1 " 10
Galerijskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	85	" —	86 " —
Galerijskie obligacje indemnizacyjne bez kuponu	76	" 30	77 " 30
5 proc. pożyczka narodowa	85	" 30	86 " 30
Srebro	103	" 30	104 " 30

We wsi Lubszy w obwodzie Brzeżańskim, sześć mil od Lwowa, jest od dnia 24. Czerwca 1856, austerja przy nowo założonej murowanej drodze, z mniejszym lub większym dodatkiem pól i łąk do wypuszczenia. Bliższe szczegóły listownie do zarządu ekonomicznego w Lubszy, poczta Rohatyn. Starozakonni excypowani. (85 1—2)

We wsi Siemianówce, we dworze, ćwierć mili od Szezerca, półtrzeci mili od Gródka, trzy mile od Lwowa odległej, jest 500 kórey owsa, zdatnego na nasienie, do sprzedania. O cenie daje wiadomość p. Kędziński Izidor rzadca dóbr w Siemianówce, przez pocztę Szezerzec.

(86. 1—3)

(G. 84) **H. W. Kallenbacha** (1—3)
Nakładem we Lwowie

wyszło i jest do nabycia we wszystkich księgarniach:

Dzierzkowski J. Król dziadów, powieść we dwóch tomach 1856. 2 złr. 30 kr.

Jak się u nas żenia, obrazek społeczny przez L. Sz. w 8ce 1855 2 złr. 30 kr.

Pamiętnik pieśniarza. w 8ce 1856 20 kr.

Pietruski O., Jak to bywało, powieść w 8ce 1856 2 złr. 30 kr.

Wybór modlitw i nabożeństwa codziennego, oprawne w papier 30 kr.

W półskórek 45 kr

W safiانową skórę ze złotym brzegiem na lepszym papierze 2 złr.

Taž Księgarnia

otrzymała z Paryża

najnowszy portret

Adama Mićkiewicza,

litografia Mićkiewicza podług fotografii Szwaycara, w dużym formacie.

Cena: 3 złr. 20 kr. m. k.

Guwernantka

udzielająca gruntownie nauki języka francuskiego i muzyki, będąca w wieku i uosobieniu, w którym młodych panienek wychowaniem kierować może, szuka odpowiedniego umieszczenia. Bliższej wiadomości zasięgnąć można w domu pod Nr. 648 przy ulicy Syxtuskiej, na pierwszym piętrze na prawo, naprzeciw ruskiego seminarium.

(G. 79 3—3)

Salon-Mód
(dla Dam)

we Lwowie,

przy wałach Nr. 312, na przeciw ces. król poczty. Niżej podpisana poleca szanownej publiczności swój **Skład strojów damskich paryskich**, najmodniejszych, do każdej pory roku stosownych, jako to: **kapelusze strojne i kapoty materjalne, ryżowe florenckie i słomkowe, kwiaty i pióra najcieńsze, ubiorki i coifury balowe, czypki salonowe i negliżyki, mantylki i echarpy, zarzutki, burnusy i płaszcze tyflowe i sukienne**. Także gotowych własnego wyrobu **zagranicznych modeli** i materyi, każdego czasu po **najmniejszych cenach** dostać można; równie jak każde zamówienia tychże artykułów, tak w miejscu jako i na stronę przyjmują się.

(G. 80. 2—3)

Antoinetta Belland.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winiarza.**